

Teksty Drugie 2014, 1, s. 208-214



Lewica akademicka: między hipokryzją i iluzją

Michał Paweł Markowski

Michał Paweł Markowski

Lewica akademicka: między hipokryzją i iluzją

*My potrzebujemy fryzjera lub szwaczki szyjącej koszule,
ale bardzo mało prawdopodobne, żeby fryzjer lub krawcowa
potrzebowali właśnie nas i naszych książek*

K. Čapek *Sztuka proletariacka*

1.

Przywykłem już do dyskursywnych napaści i nie martwią mnie one, ponieważ zaciętrzewienie uważam za dobry znak: że komuś bardzo zależy na wyartykułowaniu własnego punktu widzenia, który do tej pory na artykulację liczyć nie mógł albo był starannie przemilczany. Cieszę się, że Jan Sowa z furią zaatakował moją książkę, bo postawił na ostrzu noża sprawy ważne, o których bezwzględnie należy dyskutować, i pozwolił mi na powiedzenie paru rzeczy, o których od dawna chciałem coś powiedzieć. Zaciętrzewienie jednak może także przesłaniać widok, co także nie jest rzadkie, bo jednostronność idzie często w parze z radykalizmem, o ile nie jest jego przesłanką. Sowa jest krytykiem radykalnym, musi więc, jak każdy „mocny poeta”, przykrawać wszystko do swojego programu, musi wobec tego wymyślać niektóre rzeczy, których u mnie nie ma (i nigdy nie było), jak to,

Michał Paweł Markowski – prof., The Hejna Chair in Polish Language and Literature na University of Illinois w Chicago, dyrektor artystyczny Międzynarodowego Festiwalu Literatury im. Josepha Conrada w Krakowie. Autor wielu książek na temat związków filozofii i literatury, tłumacz i wydawca *Pism* Rolanda Barthes'a (1999-2001). Ostatnio opublikował książkę *Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki* (2013). Kontakt: markowski@uic.edu

że według mnie poruszamy się tylko w obrębie znaków, że poza nimi nie ma świata, że uważam, że uprawianie humanistyki polega jedynie na „mnożeniu przyjemności intertekstualnej podróży wzdłuż łańcucha znaczących”. Ale, jak powiadam, rozumiem to doskonale, bo Sowa musi mnie wyrzucić na śmietnik historii, żeby zrobić miejsce dla swojego rewolucyjnego zamachu. Było tak zawsze i będzie, więc nie ma tu o co krzeseł łamać. Na tym właśnie polega humanistyka, w odróżnieniu od nauk ścisłych: że się wadzimy osobiście, bo są to dla nas, nie dla nauki *per se*, ważne sprawy. Nie łudźmy się: nikogo poza nami te rzeczy nie obchodzą. Bo my nie robimy nauki, w przeciwieństwie do fizyków i onkologów, tylko opowiadamy swoje własne historie, licząc na to, że ktoś się nimi zainteresuje. Jeśli tak, to świetnie, jeśli nie, to powinniśmy robić co innego.

2.

Sowa i ja, tak by się przynajmniej wydawało, należymy do innych światów, które wspierają się na odmiennych przesłankach, odwołują się do innych idei, których mieszkańcy czytają innych autorów i przyciągają innych zwolenników i w zasadzie nie powinno być powodu, dla którego Sowa miałby mnie recenzować, a ja jego, bowiem nasze książki dla nasze argumenty miały, mają i będą miały czytelników i czytelniczki, którzy rzadko pójdą razem do łóżka. Humanistyka, czego staram się dowieść w *Polityce wrażliwości*, jest trwale podzielona, różne interesy, różne języki i różne cele jej przyświecają i hołdowanie iluzji, że kiedykolwiek się ona uspołni i nada sens ludzkiemu życiu jako takiemu (nagiemu życiu, jak mawia Sowa), jest niezwykle naiwne. Nie ma punktu zbieżności między tym, co uważa Sowa i co uważam ja, poruszamy się w innych światach i postępujemy wedle odmiennych scenariuszy, ale ostatecznie i tak wpadamy na siebie, bo zajmujemy się dokładnie tym samym: przekładaniem ze swojego na nasze, tyle że ja się do tego otwarcie przyznaję, Sowa natomiast kompletnie mistyfikuje swoje zaangażowanie, ponieważ w gruncie rzeczy robi to samo, tylko wstydzi się przyznać. Owszem, żyjemy w tym samym świecie, tyle że robimy co innego, i nigdy to się nie uzgodni, choćbyśmy nie wiem jak mocno tego pragnęli. Złudzenie, że może to nastąpić, prowadzi do przekonania, że możliwe są jakiegokolwiek programy, których realizacja wyzwoli nas wreszcie z partykularnych ograniczeń, które Sowa z wielkim upodobaniem nazywa „masturbacją” (zawsze mnie ciekawiło, dlaczego ostra prawica i ostra lewica, Kościół i Komitet tak bardzo, z równym impetem nienawidzą masturbacji). W tym sensie zgadzam się z Sową, że w humanistyce chodzi o „komunikowalność zbieżności wielu jednostkowych perspektyw”, tyle że on – jak każdy naiwny progresista i każdy agresywny katolik – uważa, że ta komunikowalność nie tylko może,

ale i powinna być powszechna, gdyż inaczej nie dostąpimy zbawienia, natomiast wszystkie próby urozniczenia poglądów są jedynie postmodernistyczną grą, która maskuje ekonomiczną nierówność. Mnie mniejszy apetyt napędza. Pisze się nie po to, żeby powiedzieć, jak jest i jak powinno być, ale po to, by zawiązać przymierza mniejszego kalibru, skonstruować wspólnoty podobnych mniemań, posiedzieć przez chwilę przy wspólnym stoliku. Nie przeszkadza mi, że kiedy ja tańczę, Sowa gada przez cały wieczór z innymi *talking heads*. Robimy co innego w tym samym miejscu, różnica polega zaś na tym, że Sowa uważa, że robi coś niezwykle ważnego, od czego zmienia się świat, ja natomiast jestem wolny od takiego akurat roszczenia (bo oczywiście hołduję innym, zwłaszcza gdy tańczę). Jego pomysł na humanistykę? „Stworzenie legitymizacji dla humanistyki jako przedsięwzięcia ważnego i wartego wspierania przez ogół społeczeństwa”. Wolne żarty! Ogół społeczeństwa jest fikcją, która wyskakuje z pudełka zawsze, gdy ktoś chce komuś innemu coś narzucić. Ogół to, ogół tamto. Sowa, jak każdy komisarz kultury, pogardza tym, co jednostkowe i idiosynkratyczne, i zrzuca pogardliwie do poziomu fantazmatów i pragnień. Jednocześnie powiada: „Czy ktoś, kto, jak Markowski, woli towarzystwo ironistów od «ontologów i moralistów» może mieć cokolwiek ciekawego do powiedzenia o nagim życiu?”. Odpowiadam: o nagim życiu nie mam nic ciekawego do powiedzenia. Dopowiadam: Sowa też nie. Ani też żaden z jego mistrzów, choć każdemu z nich wydaje się, że przedarł się na drugą stronę, ku samej rzeczy. Uważam takie mniemanie za bardzo niebezpieczne. Wraz z przeświadczeniem dobrania się do Realnego (albo rozpoznania tego, co dla ogółu lepsze) zaczyna się terror. Jeden z młodych lewicowych intelektualistów groził mi kiedyś paluszkami, że kiedy tylko dojdą do władzy, mnie pierwszego postawią pod murem. Jak wszyscy bolszewicy wiedział, że najgorsze są mieńszewickie idiosynkrazje.

3.

Rozpisany na wiele stron, z wszystkimi możliwymi czerwonymi autorytetami pod pachą, argument Jana Sowy jest bardzo prosty i przewidywalny. Filozofowie dotąd tylko interpretowali świat, teraz chodzi o to, żeby go zmienić. Doszliśmy do takiego punktu w dziejach, w którym – wydawałoby się – panujemy doskonale nad wszystkim, a tu nagle okazuje się, że kłops: bieda wszędzie, katastrofa ekologiczna, inflacja, a w Bangladeszu sprzedają nerki, żeby spłacić długi. „Naszym zadaniem, jako humanistów i humanitek, jest takie myślenie i taka praca z pojęciami, które pozwolą człowiekowi – jako jednostce i jako gatunkowi – zyskać kontrolę nad wyalienowanym światem jego własnych wytworów”. Tym trzeba się teraz zajmować, powiada Sowa, zamiast czytać Horacego, należy zajmować się niewolnikami, dzięki

pracy których Horacy mógł swoje kawałki pisać, nie troszcząc się o swoje materialne zobowiązania. Przestańmy, powiada Sowa, interpretować świat, zajmijmy się wreszcie jego ratowaniem. Ślicznie, ślicznie, Janie Sowo, jestem całkiem po Twojej stronie i chętnie zobaczę, jak ratujesz świat przed inflacją czy katastrofą ekologiczną albo powstrzymujesz biedę w Trzecim Świecie, pracując w swoim gabinecie nad pojęciami. Póki co widzę, że zajmujesz się mnożeniem interpretacji, przepisywaniem tego, co powiedział kto inny, tworzeniem nowych kontekstów do starych tekstów. Godne to i sprawiedliwe, bo tym się zajmujemy w humanistyce (witaj w moim świecie), a ratowanie świata zostawmy ludziom, którzy umieją – i chcą – to robić. Tylko po co udawać, że możemy robić to, czego nie możemy? Postawię sprawę jasno. Nie ma tu żadnego pomiędzy. Albo pracujemy nad pojęciami wedle naszych potrzeb (bo pojęcia moje nie są pojęciami twoimi i odwrotnie; nie ma tu wspólnego zasobu do podziału), albo walczymy z *human trafficking*. Albo piszemy książki dla nielicznych, albo rozdajemy nad ranem ulotki. Oczywiście można robić i to, i to, w pełni świadomości, że robi się kompletnie odmienne rzeczy, ale wedle mojej wiedzy są to przypadki tak rzadkie, że historia ich triumfalnie nie odnotowuje. Ja w każdym razie piszę książki (nawet Sowa przyznaje, że robię to z „językową sprawnością”) i najgorszą rzeczą z możliwych byłoby zakłamanie, że powinienem robić co innego.

4.

Sowa nie jest w swoim proteście odosobniony. Niezgoda na interpretację i wołanie o zmianę świata są stare jak mieszczańska frustracja. Robi to każdy lewicowy intelektualista, który chciałby bardzo, żeby go traktowano poważnie i żeby nikt mu nie wyrzucał, że za dużo czyta. Wtedy bardzo chętnie będzie przekonywał wszystkich, że dyskurs innych jest reakcyjny, natomiast jego jest stuprocentowym działaniem, bo często używa słowa „bieda” albo „rewolucja”. Zadawalony z tego odkrycia pisze kolejną książkę, jak to byłoby dobrze, gdyby wreszcie ci ohydni burżuazy wymarli, ale zapomina, że jego towarzysze z wyboru nie czytają na co dzień Negri i Badiou, tylko chcieliby mieć coś więcej niż umowy śmieciowe. Czytają go więc tylko, oczywiście z wielkim zapałem, inni wyalienowani intelektualści, co pogłębia jego własny dyskomfort, jeśli jest inteligentny i ma sumienie, a prowadzi na drogę cynizmu, jeśli tylko jest inteligentny. Przekleństwo lewicowego intelektualisty polega na tym, że może tylko mówić, bo gdyby działał, przestałby być intelektualistą, na czym mu bardzo zależy, a gdyby przestał być intelektualistą, jego status społeczny spadłby na łeb, do czego nie może dopuścić, bo mu z tym statusem za wygodnie. Jedyne, co mu pozostaje, to odwracanie uwagi od swojej bezradności za pomocą nieprzerwanego strumienia mowy, do czego najlepiej nadają się

konferencje, gdzie wszyscy niesłychanie się podniecają, jacy są rewolucyjni, wydając rezimowe pieniądze. Lewicowy intelektualista nigdy nie przekształcił się w pracownika społecznego, bo wtedy utracił cały swój symboliczny kapitał. Żadna bezrobotna kucharka nie zrozumie subtelnej aluzji do Fredrica Jamesona albo Alana Badiou.

5.

Z tego powodu szlachetne oburzenie Jana Sowy (i jego zwolenników) uważam za wielce dwuznaczne. Gdyby Jan Sowa rzeczywiście chciał przezwyciężyć swoją alienację, to czy tak uparcie stukałby do bram akademii, żeby go tam wpuszczono, i dziwiłby się, że go tam nie chcą? Gdyby Jan Sowa rzeczywiście wierzył w to, co mówi, to czy natychmiast nie porzuciłby wysokiego dyskursu, żeby szukać mieszkania dla bezdomnych albo gotować zupę dla tych, z którymi się podobno utożsamia? Tymczasem idzie tą samą drogą co wszyscy jego mistrzowie: wierzy naiwnie, że niepowstrzymany dyskurs zmienia cokolwiek w świecie poza jego własną bibliografią, dzięki której jedyne co może zrobić, to starać się o pracę w miejscu, które natychmiast staje się ślepą plamką w jego dyskursie. Wszystko to wydaje mi się tak oczywiste, że właściwie nie trzeba by tu niczego dodawać. Skoro jednak znalazłem się już na śmietniku historii, mogę sobie pozwolić na kilka kolejnych uwag. Ze śmietnika widać lepiej, choć inni wciąż leją pomyje.

6.

Główna teza *Polityki wrażliwości* brzmi: tym więcej mamy swobody, im bardziej wielogłosowa jest przestrzeń naszej codziennej egzystencji, i dlatego humanistyka ma polityczne znaczenie, bo odnosi się do wspólnego życia. Nie jest to z pewnością przesłanka rewolucyjna, ale nie jest to także, jeśli brać pod uwagę to, co się w Polsce dzieje w humanistyce i innych dziedzinach, żądanie błahe. Oznacza ono tyle, że wszystkie jednostajnie brzmiące monologi, które rozlegają się hucznie dookoła nas, wsłuchane jedynie w swój własny głos i zagłuszające inne głosy, łącznie z tym, który wietrzy w każdym wołaniu o więcej różnorodności jedynie postmodernistyczną sztuczkę maskującą niesprawiedliwość tego świata, mają bardzo niebezpieczny wpływ na to, jak żyjemy. To bardzo prosta teza, której powtarzanie nie jest bynajmniej jałowe. Wystarczy posłuchać, kto i co mówi w przestrzeni publicznej i jak nie słucha innych, przekonany o swojej wyłącznej racji, albo – co wychodzi na jedno – o tym, że wie. Naturalną konsekwencją tej tezy jest inna: pozwól innym mówić to, co uważają za stosowne i ważne dla siebie, choćby nie zgadzało się to z twoim własnym językiem i twoim

własnym o świecie przekonaniem. To jest humanistyczny program minimum, którego i tak nie sposób zrealizować.

7.

I tu się z Sową różnimy. Nie chcę pozostawać jedynie na poziomie abstrakcyjnych argumentów, więc odrobina rzeczywistości może być pomocna, choć oczywiście także mocno ambarasująca. Gdybym przyniósł *Politykę wrażliwości* do jego wydawnictwa albo gdyby on został poproszony przez jakiegoś wydawcę o wewnętrzną recenzję z tej książki, wówczas odrzuciłby ją jako przestarzały relikw z okropnych czasów poststrukturalistycznych, kiedy to nikt nie pochylał się nad ciężkim losem biednych ludzi, tylko rozdymał swoje własne ego za pomocą pompek-błyskotek. Kiedy on natomiast przesłał mi swój manuskrypt, z wielkim entuzjazmem zaproponowałem go wydawcy, gdyż uznałem, że eksperyment dyskursywny *Fantomowego ciała króla* wart jest publicznej rozmowy, choć z książki tej nie wynika nic poza tak zniechęcającą przez Sowę reinterpretacją. Mógłbym powiedzieć, że polskiemu społeczeństwu przedefiniowanie jego historii za pomocą Lacanowskiego słownika jest dokładnie tak samo potrzebne jak obsztorcowywana przez Sowę dekonstrukcja, ale nie będę w tym miejscu krytykował książki, którą nadal uważam za bardzo ciekawą reinterpretację. Sytuacja jest więc następująca. Albo Sowa nie wie, co mówi, krytykując przesłanki książki, dzięki której jego własne dzieło mogło być wydane i reklamowane jako bardzo śmiałe, albo jest bezwzględny cynikiem, który chętnie zrezygnuje z własnych przekonań, jeśli tylko może coś na tym ugrać. Wolę wierzyć w to pierwsze, choć to drugie mniej urąga jego inteligencji.

8.

Ostatnia kwestia, nie najmniej istotna. „Nie widzę pożytku, jaki humanistyka może pod tym względem mieć z Derridy lub Markowskiego, skoro mamy już Sofoklesa, Marka Aureliusza, Senekę czy Księgę Eklezjastesa”. Gdyby o to oczywiście chodziło, przyklasnąłbym Sowie bez wahania. Kłopot w tym, że żaden z wymienionych nie musiał pracować na uniwersytecie, którego fatalna kondycja, bardziej mentalna niż finansowa, bardzo mnie frapuje. Tymczasem Sowa, po licznych perypetiach ze znalezieniem zatrudnienia, wie najlepiej, czym jest uniwersytet dzisiaj, w Polsce, a jednak udaje, że nie jest to żaden problem, bo bardziej od zmiany miejsca, w którym pracuje, interesuje go biegać w Bangladeszu. Sowa o uniwersytecie milczy, bo go potrzebuje, dokładnie w takiej postaci, w jakiej on się dziś znajduje, gdyż inaczej nie mógłby tak udatnie odgrywać roli radykalnego lewicowego krytyka i – by skutecznie przezwyciężyć alienację – musiałby zrobić coś więcej, niż licytować się

nazwiskami albo dowodzić, kto się myli względem Lacana. Trudniej jest gadać z kucharkami o zwolnieniach, niż po raz setny czytać na seminarium bełkotliwych maoistów.

Dwugłos traktujemy jako otwarcie dyskusji nad humanistyką i sytuacją uniwersytetu.

REDAKCJA

Abstract

Michał Paweł Markowski

Academic left: between hypocrisy and illusion

A response to Jan Sowa's polemics with the theses of *Polityka wrażliwości (Politics of sensibility)*.